uni na Gazowe ulice fabrykowali te herbate, ale ja nie...

Uni dawali za dużo popiół. Jak im zabrali dwa cetnary te herbate, to buł prawie sam popiół i ogonki od stare herbatę albo kurz herbaczany... To co innego! Za trzy złote funt herbate — to buło u nich to samo, co za 30 groszy. Same wimoczki i popiół.

Żeby im sze co stało! Co oni nam, porządnym fabrykantom narobili!...

Co ja winien?

Ja przecie panom takie paskustwo nie sprzedaje, a jak przyńdzie taki głupi chłop, co chce dużo i tanio i w ładne paczke, to ja sze z nim targuje i on robi dobry interes, ja zarabiam... Co to szkodzi? Przecie taki cham sze nie pozna na herbate!

Ja jezdem niewinny, to zara poznali, bo jak ja ino złożył kaucyje, to mnie zaraz wypuszczali...

I wszystkie ludże gadają, co żydy — to złodzieje!

Ny bardzo wielkie szkode, co w te całe herbaczane sprawe nie ma ani jeden katolyk, ino same żydy... Bo jakby buł chocz jeden katolyk, toby można zara krzyknąć, co te antysemitniki to są bardzo podłe ludże..,

Chłopski dowcip.

Ludzie podziwiają chłopski rozum. Mówią, że to rozum najlepszy.

Nie sprzeczam się, choć właściwie nie jest to rozum, tylko dowcip, spryt.

Oto świeży przykład:

Przyjeżdża chłop z furą drzewa do Warszawy a sprzedawszy je, staje przed apteką.

Była to godzina trzecia po obiedzie, chłopu się bardzo chciało jeść.

Ogląda się koło siebie, ogląda, nareszcie patrzy bystro w drzwi apteki i zaczyna się drapać po głowie.

Aptekarz spojrzał przypadkiem, nakoniec zdziwiony i zaciekawiony naiwną miną Bartosza, wychodzi i pyta:

— A czegoście to chcieli, człowieku?

— Ba, żebym to wiedział!

— Jakto?

— A no zapomniałem.

— Czegoście zapomnieli?

— A to wielmożny dziedzic ze dwora kazali mi czegosiś kupić w aptece i przepomniałem jak się to bestyjstwo nazywo.

— I za dużo pieniędzy mieliście to kupić?

— Dyć za sto złotych aże...

Aptekarz musnął się ręką po brodzie.

— To chodźcie, gospodarzu, do apteki, może sobie przypomnicie.

Chłop wszedł do środka, ale jakoś na rozliczne pytania i domysły aptekarza oraz jego pomocników nic sobie nie przypomniał, tylko ciągle odpowiadał:

— Nie, to nie. Ale dajta mi już pokój, bom głodny, trza pojechać na Siulec do zajazdu, to se tam podje, i może potem w tamty aptece dostanę, bo mi tam w zajeździe przypomną.

Aptekarz, nie chcąc chłopa puścić, poczęstował go chlebem, wódką raz i drugi, a wciąż poddawał mu do głowy różne medykamenta. Chłop tylko głową kiwał przecząco i gębą ruszał jak najęty.

— Nareszcie najadł się.

— Może senes? — pyta aptekarz po raz setny.

— Nie panicku, nie.

— Może aloes?

— Nie, i to nie.

— Może...

— Już wiem, już wiem, panicku, niech panicek sobie głowy na łamie, to smoła.

I wyszedł z apteki, mając kupić smoły na mieście.

DOWCIPY I ŻARTY.

Z koszar.

Pan kapitan odbywa z rekrutami lekcję salutowania. Majer żydek z Tarnowa nie może jednak jakoś pojąć. Po długiem tłumaczeniu, gdy kapitan był pewny, że uczeń go pojął, rzekł:

— Teraz ja będę przedstawiał wagon dworski, a ty masz oddać przepisany ukłon!

To powiedziawszy, zerwał się z miejsca i pomimo tuszy, sapiąc, przebiegł koło Majera, który ani się nie ruszył, ani nie salutował.

— A ty bydlę — woła kapitan — dlaczego nie salutujesz przed dworskim wagonem?

— Ny! — odparł uśmiechnięty Majer — po co ja mam salutować, jak w nim nikt nie siedział?

Tłumaczenie.

— Jakto? Dopiero drugi dzień po ślubie i ty wracasz do domu nad ranem?

— Moja duszko, właśnie dlatego, że to drugi dzień po ślubie, to mogłem bardzo łatwo zapomnieć, że jestem żonaty.

W restauracji.

Przyszedł gość do restauratora, lecz bez pieniędzy. Pyta się:

— Co jest jeść?

— Mówią, że jest kapłon z sosem.

— Co kosztuje kapłon?

— Dwie marki.

— A sos wiele?

— Nic nie kosztuje.

— Proszę sosu.

Krótkie dni.

— Czemu ty wcale nie robisz?

— Bo teraz w zimie są takie krótkie dni, że nie warto nawet zaczynać.

Na wsi.

Bartek: Wis ty, iocego zboze tak sybko wyrasta, kiej sie dobrze ziemię znawozi?

Maciek: A juści. Chce jak najprędzej z gnoju na świże powietrze wyżreć.

Co łatwiejsze?

Ktoś zapytał raz Miltona (sławnego poetę angielskiego z 17 wieku) dlaczego w niektórych państwach król może być koronowany już w 14 roku życia, żenić się zaś może dopiero po skończeniu 18 lat.

— Bo łatwiej jest rządzić państwem, niż kobietą — odpowiedział Milton.

Jasne jak słońce.

— Ho, ho, widzę, kupiłeś sobie rower! Ale skąd wzięłeś pieniędzy?

— Sprzedałem futro.

— A co zrobisz, gdy znowu nastaną mrozy?

— Sprzedam rower i kupię futro.

ŚMIESZEK

DODATEK HUMORYSTYCZNY

Wychodzi kiedy chce i kiedy mu się podoba.

Dla czytelników naszych darmo a dla innych podwójna cena.

Nr. 6 **Dnia 2 kwietnia** **1930**

Indyk za pięć złotych.

(Humoreska.)

— Jędrek! a co tam na obiad?

— Mleko, proszę pana!

— I pierogi?... Co?

— A juści!

— Bodajżeś pękł idjoto, panie dobrodzieju!

Ale „idjota pan dobrodziej nie pękał", tylko zęby w naiwnym uśmiechu pokazawszy, wynosił się z izby. Był to wyrostek dwunastoletni, syn gospodyni, u której my, trzej inżynierowie na pomiarach w K... będący, mieszkaliśmy na stancji. Od dziesięciu dni skazani na jarską kuchnię pani Walentowej, żyliśmy wyłącznie mąką i kartoflami na obiad, jajami na kolację. Mięso, ho!... przeszło trzy mile trzeba było gnać do miasteczka, gdzie czasem — bo nie zawsze — można było z trudem zdobyć kawał chabliny... Dobrym tasakiem dało się ono nawet porąbać — ale na zęby ludzkie za twarde było stanowczo!

Spróbowaliśmy raz i dało się spokój...

Złote góry obiecywaliśmy tedy babie za kurę, żeby skąd wydostała — *nikt nie chciał sprzedać!* A to, że nośna, to znów — sama mam mało — to Bóg wie, czem się wymawiały gospodynie — kury nie dostaliśmy, — a na kurczęta było jeszcze za wcześnie.

Spekulowaliśmy, jak się dało, żeby żyć możliwie; więc kwaśne mleko z kartoflami i kluski; więc kartoflana zupa — pierogi; jaja na miękko, jaja na twardo... Słowem, żyliśmy jak ów ruski chłop, co widział we dworze parę potraw na obiad, i zaprowadził potem u siebie w chacie menu: „bulba warena, bulba peczena i bulba takuj tak!" Byle trzy potrawy.

Najwięcej z nas cierpiał Władek M., bo bardzo był mięsożerny, a kartofle kłuły go w zęby. Dunderował i klął zapewniając, że kwaśne mleko jeszcze przed spożyciem działa nań chorobliwie.

Formalnie schudł nasz „pan dobrodziej".

Nazywaliśmy go tak żartobliwie — bo przysłowia „panie dobrodzieju" używał nieledwie co trzecie słowo. Nie byłem przytem, — ale zapewniono *mnie, że Władzio przy swoim ślubie miał przysięgać:* „Ja Władysław, panie dobrodzieju, biorę ciebie, panie dobrodzieju" i t. d.

Pobożny chłop był; co dzień wieczór odmawiał pacierz klęcząc.

Mimo tej pobożności jednak — nie słuchał naszych perswazyj i co do zgadzania się z wolą boską, z przeznaczeniem — i za mięsem wzdychając ciągle przemyśliwał o zmianie jedzenia...

Najbardziej go irytował piękny, młody indyk u księży gospodyni, którego spotykaliśmy zawsze, wychodząc rano w pole popod plebanję. Był to, wedle opowiadania pani Walentowej, ulubieniec proboszcza — o sprzedaniu go więc nie mogło być nawet pomyślenia!...

Ba!... od czegóż spryt?... „Pan dobrodziej" myślał, myślał i przecie w końcu wymyślił!... Zawołał nas na naradę wojenną, plan ułożyliśmy wieczorem doskonale — rano udało się wykonanie doskonale.

Jakże zatem?... Ho!... to było było skombinowane po mistrzowsku...

— Tylko gęba na guzik, panie dobrodzieju, — surowo upominał nas Władek, — bo jakby się wydało, no!....

I wybraliśmy się na drugi dzień rano jak zwyczajnie w pole.

Wszystko jak zwyczajnie — tylko Władek czegoś niedomagając, pożyczył sobie od pani Walentowej ogromną czerwoną chustkę, która dla zabezpieczenia od zimna (było 16 stopni plus Reaumira!) i kataru rozpostarł sobie na plecy jak szal.

Cóż się dzieje? Przed samą plebanją, gdy Władzio *dobrodziej stanął dla skręcenia papierosa* — nagle pojawił się indyk i na widok czerwonej chustki zagdakał straszliwie! Naczupierzył ogon, korale posiniały mu aż do fioletu, rozwścieklony rzucił się na czerwoną chustkę!...

Podnieśliśmy alarm straszliwy...

— Gwałtu! Ratunku! Na pomoc! — rozległy się wrzaski, a już Władek przygotowanym bykowcem łup indora po karku z całej siły...

— Gwałtu! panie dobrodzieju! — ryczał nad leżącym już bez duszy ptakiem, — gwałtu! Ludzie, panie dobrodzieju, ratujcie!

I dla pewności łupił indora po łbie, aż proch z gościńca ulatał!...

— Gwałtu! gwałtu!

Nadbiegli ludzie z plebanji — na czele pani Wirgilja — (ślicznie się nazywała — co?) księża gospodyni; rajwach, awantura, ryk!

My, niby to pokrzywdzeni gębowaliśmy na napad wściekłego indyka, gospodyni księdza wymyślała nam za zabicie ulubieńca, czeladź dodawała jej otuchy uwagami.

Ale najokropniej szarpał się Władek — panie dobrodzieju!

— A co to jest, panie dobrodzieju, żeby nie można przejść spokojnie do pracy! Takiego, panie dobrodzieju, napastnika powinno się trzymać na łańcuchu! Ja panie dobrodzieju skarżę jutro do sądu... Dostałem z przestrachu nerwowego, panie dobrodzieju, ataku!...

I tak dalej i tak dalej... My pomagaliśmy ręce łamiąc — gospodyni odgryzała się jak mogła, zapowiadając również skargę sądową o odszkodowanie za indyka — słowem... wieża Babel!...

Ledwie uspokoiliśmy Władka... Ja zacząłem godzić.

— Juści... należy się pani za indyka, tak... Ale za taki „choć" nerwowy można i sto złotych zapłacić... Lepiej oto pogódźmy się: pan inżynier napije się rumianku, a ja pani dobrodziejce zwrócę za indyka... trzy złote i basta!

Krótkie jeszcze oburzenie, bo indyk był jakiejś niezwykłej rasy, targ w targ, za pięć złotych zabraliśmy trupa z powrotem do domu, gdzie go nasza pani Walentowa oskubała i na drugi dzień przyrządziła po królewsku!...

Palce oblizywaliśmy po tym niezwykłym specjale.

— Szkoda tylko, panie dobrodzieju — biadał Władek — że gęsi nie skaczą do czerwonych chustek... hobyśmy, panie dobrodzieju, co dzień mieli ha obiad!...

Niestety... jeszcze trzy tygodnie jedliśmy kartofle z kluskami — ale o indyku do dziś wspominamy ze smakiem!

Zły sąsiad.

(Opowiadanie.)

Pewien organista posiał koniczynę, tuż za cmentarzem grzebalnym. Koniczyna wyrosła nad podziw, gęsta i piękna, a obiecywała plon duży. Lecz jakież było zmartwienie jego, gdy razu jednego ujrzał zdeptaną, zniszczoną i spasioną! Po śladach poznał, że kilkoro koni musiało się paść przez parę nocy. Powiedział o swojem zmartwieniu proboszczowi; ten zaś przy nauce niedzielnej upominał sąsiadów z wioski, aby szkody nie czynili sobie wzajemnie, wystawiał jakim jest brzydkim czynem, niszczyć pracę ludzką, a przytem jest to grzech, bo Pan Bóg powiedział: „Nie kradnij!" Parafjanie wysłuchali z uwagą, pogawędzili o tem po nabożeństwie, kiwali głowami, zachęcali się wzajemnie, aby iść za radą proboszcza, a po tygodniu zapomnieli o przestrodze. Najmniej myślał o tem Wojciech Styslak, sławny szkodnik w polach dworskich, w lesie i wszędzie, gdzie tylko mógł coś skorzystać i uskubnąć.

Organista pilnował w nocy koniczyny, zaglądał i we dnie, i jakoś przez tydzień nic się nie zdarzyło; więc przestał chodzić na noclegi pod mur cmentarny. Tymczasem pewnego dnia znowu zauważył ślady końskie i stratowaną koniczynę. Zaczęto to powtarzać się częściej, i już myślał, że koniczyna przepadnie. Prosił, zaklinał sąsiadów, gniewał się i złorzeczył, nic nie pomogło. Skoczył po rozum do głowy i umyślił sam sobie poradzić. I szkodnika ukarać.

Przed trzema miesiącami umarł ojciec dokuczliwego sąsiada, a bajki po wsi chodziły, że duch zmarłego Grzegorza, ukazuje się niekiedy w wiosce. Z tej bajki skorzystał organista. Nie mówiąc nikomu, późnym wieczorem udał się na cmentarz; mąką posypał twarz swoją, pod oczami nakreślił czarne obwódki, okrył się białem prześcieradłem, wziął kij do ręki i usiadł pod murem, tuż blisko swojej koniczyny. Wyglądał na prawdziwego trupa, a światło księżyca dodawało bladości.

Światła pogasły w wiosce, wszystko spało. Organista niecierpliwie wyglądał sąsiada; wątpić zaczynał, czy dziś nadjedzie i już zamyślał powrócić do domu, gdy człapanie koni usłyszał na drodze. Sąsiad istotnie prowadził parę koni i małego źrebaka. Popętał konie, pozdejmował uzdeczki i puścił na koniczynę. Sam zaś obrócony plecami do cmentarza, przysiadł na trawie, otulił się siermięgą i zaczął drzemać. Organista poczekał czas jakiś, aż sąsiad zdrzemie się dobrze, przeskoczył mu cmentarny i bez szelestu z zapartym oddechem zbliżył się do śpiącego Wojciecha, a wyjąwszy kij z pod prześcieradła, zaczął okładać leżącego i wołać grobowym głosem: „A masz! — a masz! nicponiu, krzywdzicielu, złodzieju — na tom cię wychował, aby dziś za ciebie męki cierpieć na tamtym świecie! Dotąd chodzić będę i pokutować, a prześladować cię, aż się poprawisz!" Okładał kijem, co tylko wlazło, trzymając za kołnierz przestraszonego szkodnika, a głos grobowy rozlegał się wśród ceniów nocy. Nareszcie puścił go, on zaś, zobaczywszy straszną marę przed sobą, zerwał się co tchu, a nie oglądając się, co mu sił starczyło, pobiegł do wioski. Organista prześcieradło zrzucił, konie rozpętał, dał im kilka kijów, wygnał na drogę i one ponedziły ku swojej zagrodzie, sam zaś śmiejąc się, powrócił cichaczem do domu. Nikt nie zauważył jego nocnej wycieczki, on zaś nie wypuścił pary z ust o całym wypadku.

Nazajutrz gruchnęła wieść po wiosce, że duch Grzegorza ukazał się synowi, zbił go za coś pod cmentarzem, a Wojciech leży chory.

— Istotnie — z przestrachu i od kijów, przeleżał dni kilka; wstał jakiś inny i z czasem zmienił się bardzo, spokorniał i stracił swoją zawadjacką minę. Zmiana ta była nietylko powierzchowna: stał się przykładnym sąsiadem, nie tknął cudzej własności i dzieci do tego przyuczał. Zakupił Mszę św. za duszę ojca i odtąd duch jego, nigdy mu się nie pokazał.

W wiosce przygoda Wojciecha zrobiła wielkie wrażenie, ze znanych rabusiów i szkodników stali się dobrymi ludźmi, wzięli się szczerzej do pracy i Pan Bóg im dopomagał i błogosławił.

Organista śmiał się niekiedy i myślał: Proboszcz dobremi słowami naucza w kościele, a ludzie nie zawsze słuchają... Mnie figiel udał się, koniczyna rośnie pięknie, zbiorę jej dużo, szkodników niema teraz, ot, bajka o duchu, choć raz przydała się na coś dobrego!

Jak Wojtek dostał się do nieba.

(Humoreska.)

Był ci przed laty Wojtek, gospodarz, który razu jednego nie mając chwilowo nic lepszego do czynienia, wziął się i umarł. Dusza Wojtka, jak tylko się otrząsła ze znikomej ziemskiej powłoki cielesnej, tak też zaraz zabrała się w drogę do nieba. Po drodze musiał Wojtek przechodzić wedle piekła; jak tylko o tem dowiedział się łapczywy na dusze ludzkie lucyper, tak w okamgnieniu przemienił służbowego djabła w żydka-karczmarza. Kroczy tedy Wojtek zamaszyście ku niebiosom, aż tu go zatrzymuje za połę sukmany żydek, wołając:

— Pięknie witam, panie Wojczechu!

Wojtek, miarkując, że to jakaś zasadzka, szarpnął się i ofuknął:

— Daj mi święty spokój żydzie, bo jak cię zamaluję, to ci świeczki staną w ślepiach.

A żydek:

— Ny, co to z was dżysz za wielki jegomoszcz, co za wielki pan, Wojczechu, aj waj, haste gewidżoł... czyszcze ta jaki dżedżycz, czy może jaki książę, żeby nie pomówicz z poczciwym żydkiem?... że ja może nie katolyk — ny, ale to katolyki na mnie pracują, a to przecież kamractwo... a u mnie takie rarytne wódka, i na przegryzkę świeży krupniok szwyczy się jak lakierowany...

Na wspomnienie wódki okrutnieście Wojtkiem zakręciło, nos mu się wykrzywił w stronę piekła i srodze go połechtało na wnątrzu.

Jedyne szczęście, że jakiś djabeł trzymając złapaną duszę sprzedawczyka jako kot mysz w zębach, otworzył właśnie w tej chwili bramę piekielną; i cały podstęp Jego Djabelskiej Mości Lucypera się wydał, bo Wojtka zaleciał zapach warzonej smoły i skwar piekielny i słyszał jęki męczonych dusz, co za życia zamiast czynić dobrze, męczyły ludzi, swych bliźnich.

— Niedoczekanie twoje, szatanie — zawołał tylko i co sił starczyło zmykał od czartowskiej pokusy, aż się za nim kurzyło.

W krótkim czasie stanął przed bramą niebieską i nieśmiało zastukał do niej trzy razy; w tej chwili zabrzęczały klucze, zawarczały wrzeciądze — a u wrót niebieskich na progu nieba stanął klucznik niebieski, święty Piotr.

Wojtek zdjął pokornie czapkę z głowy, pozdrowił św. Piotra jak się przynależy i rzekł:

— Niech będzie pochwalony:

— Na wieki wieków — Apostół odpowiada, a Wojtek, jak to był chłop zuch, śmiały i wszędzie musiał być pierwszy, tak też chciał w tej chwili przekroczyć próg, żeby dostać się do nieba.

— Oho, bratku, tylko zwolna... zwolna... — rzeknie Apostół — bo tu nie żadna gospoda... powiedz mi jeno naprzód, co tu masz za sprawę?

— Jestem duszą Wojtka.

— A cóżeś to takiego, miły Wojtku, uczynił dobrego tam na tej waszej ziemi, że się tak gwałtem ciśniesz do nieba, hm?...

— O św. Piotrze, toć wiedzą sami, że chodziłem na Mszę św., że pościłem, dawałem ubogim jałmużnę, że w pocie czoła orałem zagon ojczysty, i że byłem zawsze tym, czem mnie Pan Bóg stworzył, byłem dobrym Polakiem, nie tylko nie gardziłem, ale chlubiłem się ojczystą mową...

— O, mój kochany, a toć tylko wypełniałeś to, co ci Pan przykazał... wypełniałeś tylko swe obowiązki, a to jeszcze nie uprawnia do nieba.

I zaczął się Wojtek ze św. Piotrem targować, ale klucznik niebieski był tym razem twardy jak kamień i nie dał się zmiękczyć; był ci też bardzo strudzonym, bo dużo już dnia tego nawpuszczał wprost przed stopy Wszechmocnego Ojca niewinnych duszyczek polskich i już, już chwytał za bramę, żeby ją zawrzeć Wojtkowi przed nosem.

Wtedy to Wojtek w największem utrapieniu i z ciężkiem westchnieniem zdobył się na te słowa:

— O kluczniku niebieski, czy to nie wiedzą o tem, święty Ojcze Apostole, a przecież ja byłem ożeniony i to — tu Wojtek westchnął bardzo głęboko — aż 30 lat... 30 lat — powtórzył z jękiem.

Po tych słowach stało się coś niespodziewanego; św. Piotr zawiesił klucze na guziku swej szaty i obie ręce wyciągnął ku Wojtkowi, mówiąc z wyrzutem:

— A czemuś mi nie rzekł tego od razu?... a pójdźże, pójdź, duszo moja, wchodź prościuteńko do nieba... a toś ty był ożeniony aż przez 30 lat; to tej niedoli już dosyć miałeś w dole na tej ziemi waszej — i przeprowadziwszy go przez próg niebieski, zawarł bramę za sobą.

I Wojtek dostał się do nieba i uradowany i zadowolony, szczęśliwy teraz na wieki powtarzał sobie, zacierając dłonie:

— Niema to, jak się ożenić... nakłopotałem się, nakłopotał z tem babskiem bez 30 lat, alem się za to dostał do nieba: a tu ci — dokończył, oglądając się dokoła — jest bardzo pięknie i już mnie stąd nikt nie wydostanie.

Zaraz też zebrało się koło Wojtka kilkadziesiąt dusz, witając go serdecznie i prosząc, żeby im opowiedział, co się tam dzieje na ziemi. Wojtek odetchnął i opowiadał przeróżne rzeczy bardzo ciekawe i bardzo smutne o tej biednej ziemi — a dusze często łzy roniły i załamywały ręce.

Icek „herbatnik"

— Państwo miszlą, co ja idę z domu? To państwo sobie miłą. Ja zupełnie idę z insze instytucje, ja idę z... koze.

Ale ja nie idę z takie koze, co daje mlik, im z takie koze, co sze nazywa „ciupa".

Co? Państwo sze pytają, za co mnie tam wsadzili!

Za kołnierz!

Tam są bardzo grzeczne ludzie, te dozorcy; jak mnie poproszyli szedziecz, to mnie nie chcezli puszczycz i ja szedżałem przez cztery mieszące...

Bardzo grzeczne ludzie!...

Ja jezdem zupełnie niewinny. Ja, proszę państwa, mam fach w ręku, jezdem meldowany, mam żone i dziecki, i jezdem bardzo porządny człowiek, ino co tera jest taki szwiat, co wszistkie miszlą, że jak ino żyd, to musi bycz złodziej...

Ny, co na to poradzisz, kiedy ludzie tak miszlą...

Ja, na ten przikład, jezdem sobie taki „herbatnik". Państwo wiedzą, co jest herbatnik? Nie? To ja zaraz państwo powiem. Ja mam na Żelone ulice taki sklepik, co sprzedaje herbate w różne gatunki...

To kilkie tygodniów temu przisziedł do mój sklep taki pan od komisje i wzion u mnie pare paczki herbate do zbadania, a na drugi dżeń, to mnie wżęli do koze...

Uni gadali, co w moje herbate jest połowe popiół i połowe wimoczki, a herbate to niema wcale...

Ale ja jestem całkiem niewinny.

Bo co to komu szkodży, co w moje herbate buło trochę popiołu? Czy popiół — to trucizna? To jest żadne trucizne! Szczury także szedżą często w popiół, a są zdrowe i do doktory nie chodzą i felczery nie potrzebują. To nie jest żadne trucizne!

A że w moje herbate buło wimoczki, ny to nie żadne zbrodnie!

Co ja temu winien, co państwo już raz te herbate zaparzali, to przecie nie ja zaparzałem...

Ale jaki to buł gatunek te herbate! A jajl sam cymes!

To nie byle kto mi sprzedawał te wimoczki. Służąca, co jest u tapicera i chłopak od introligator i lokaj od sam pan bankier! To buł piszny gatunek herbate! Aromatik — bez domieszki!

To Dawid Cukierbaum i jego mame Ruchle, to